

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 5 sierpnia 1916 roku.

№ 32.

## Nil Desperandum...

Nie odeszły w niepamięć te chwile. Nie przesłonił ich czas srebrnym welonem blednących wspomnień. Żyją w piersi polskiej jako stała obecność. Rozrastają się do rozmiarów rzeczywistości, z którą się zmierzyć musimy. Bo czyż od wieku nie pytamy stale przeznaczeń, kędyż kres męki i doświadczenia? Czyż nie zrywamy się stale do walki o najświętsze prawo istnienia, o wolność naszą? I otaczamy glorią niewiedzącej sławy tak bohaterów, co w jasnej topieli dnia szli murem piersi bronić granic Rzeczypospolitej, jak i tych cichych pracowników, walczących o każdą duszę polską, niosących dobrą nowinę słowa pisanego pod strzechy chłopskie, do suteryn robotniczych?

Już przed wiekiem urósł kult dla nich. Żyje ciągle i stale się rozmnąża. I czcimy ich imiona w rządowej karcie wolności polskiej, konstytucyj majowej. Modlimy się do oręża walczących, co podnieśli ramię przeciw najeźdźcy. A słowa Naczelnika przybierają blask życiodajnego słońca.

Imię jego Tadeusz Kościuszko.

Aliantka północna dławiała polską chęć odrodzenia. Zwołała do Grodna sejm, na którym Targowica zawotowała wszystkie carskie wymagania, wbrew opozycji patriotów. Złoto moskiewskie żłobi głęboko i rozkłada gnijące dusze szlachty i magnatów. Wre jednak zabawa, szaleje hazard karciany. Polskie damy tula gorzyc i boleść niewoli w ramionach co przystojniejszych, wpływowszych lub zamożniejszych rosyjan. Polska upaja się ohydny karnawałem korupcji.

A jednak żyją zdrowe ziarna w narodzie. Rodzi się myśl wyzwolenia, zakwita kwiat na bagnie.

Wi. Reymont w drugim tomie swojej wielkiej trylogii historycznej, poświęconej tym niezapomnianym

chwilom w życiu narodu, zamknął przygotowania do walki. Pokazał, jak urasta, rozwija się i rozgąłęzia męska myśl o wyzwoleniu. W pierwszym tomie jesteśmy świadkami sejmowi grodzieńskiemu. „Nil Desperandum“ maluje Królestwo i pokazuje rosnący w Warszawie spiszek, który miał doprowadzić do insurekcji Kościuszkowskiej. Poznajemy wszystkich najważniejszych twórców powstania: Działyńskiego, ks. Mejera, Barsa, Konopkę, Trębieckiego, Kilińskiego, Kapostasa, Moszyńskiego, Węgierskiego, Aloego, wreszcie Czyżę. I majestat królewski znalazł tu dla siebie miejsce na stronicach tej trzęsawej opowieści. Wsuwa się postać Igelströma, ambasadora północnej aliantki.

A fabułą rozpoczyna się od prowtu Zaręby pod rodzinne strzechy, do majątku rodowego, Grabowa. W Grodnie patrzył na tragedję sejmową, serce zakręcał widokiem ukochanej Izy, co w rosyjskich ramionach zażywała pieczyoty i dostatku, choć poślubiona była polskiemu panu. Stary Zaręba, moźny dziedziec, ciekaw jest ogpwin z szerokiego świata, obchodzą go też żywo sprawy Rzeczypospolitej. Nie należy jednak do rządu tych, co w zapalnym zynie gotowi są nadstawić karku. I przypuszcza, że skoro stany zdecydowały wymagania aliantki, to zapewne uczynili to rozsądnie. Inaczej myśli młody Zaręba. Inaczej też pokaże ojca sejm grodzieński. Stary wslucha się w opowieść niezadowolony, ale gdy młody Sewer doda jeszcze, jak bronił się rosyjanom, jak setnemi razami wy dostał się z opresyi — wtedy z Zarębie rozegra się krew. Ceni on męstwo i sztukę wojenną. Stryj jednak dopiero w Sewerze znajdzie prawe ramię zemsty za Bar.

Uczeni go co najprzedniejszą ba-

teryą win, nalewek i miodów. I pokaże w lochu piwnicznym broń tylko czekającą na skinienie, by znów znalazła się w męźnych rękach obrońców ojczyzny. Tu w starym pałacu stryjowym przypomni sobie Sewer znajomość z Cešką, Dziewczyną złotowłosą, junackiem, dojeżdżaczem koni, myśliwym — a nawet nie obca jest jej sztuka opróżniania kielichów. Zdrowie z niej tryska — siła i męstwo. Wychowuje się wśród towarzystwa męskiego, wśród dawnych barszczan, rycerzy, mnichów i biboszków, ich ideały piastuje, służy wiernie hasłom tężyzny polskiej. Sewerowi nie postoją w głowie amory. Przyjechał nie w poszukiwaniu przygód. Wnet odjedzie do Warszawy, gdzie go powołuje sprawa. Tu wiazać będzie nici powstania, myląc ślady szpiegumom. Wysłany znajdzie się w Paryżu, by traktować w naszej sprawie z pierwszym sankiulotą obywatelem Robespierrrem. Powróci z niczem, co więcej straci wiarę w ideały sankiulockie. Napatrzy się, jak to p. Sanson obcina główki arystokratów, jak pławi się w niesprawiedliwie przelanej krwi motłoch paryski. Obecny też będzie na święcie Rozumu. Gdy wróci do Warszawy nawiąże znów nie pracy konspiracyjnej. Tu wśród wojskowych i mieszczaństwa wra przygotowania. Burzy się krew i niecierpliwię pcha do czynu. Karność trzeba utrzymać. Zaręba słucha rozkazu Naczelnika, który już się zjawił w Krakowskiej ziemi w przebraniu i po rozejrzeniu się w sytuacji, zdecydował, że jeszcze nie nadeszła pora.

Reymont narysował Kościuszkę dyskretnie. Nie wysuwa go jeszcze na plan pierwszy. Dowiaduje się na razie o nim czytelnik, że musiał pod przybranem nazwiskiem przebywać w Krakowskiej ziemi. I co specjalnie pociągało Reymonta — to dobroć i umiłowanie dzieci przez Kościuszkę. Te cechy wysuwa na czoło swojej charakterystyki człowieka. Bohater narodowy jeszcze jest w cieniu.

Zaręba w pewną odwieczną karnawałową zostanie w Warszawie nawiedzony przez złą wieść. Stary pan śmiertelnie zachorował. Na rozstawnych koniach, w zamieć śnieżną jedzie Sewer do ojca. Nim zdaży — zwali się do domu kuliąg. Stary Zaręba, choć chory, każe podjąć gości w swym domu. Gra muzyka, wytoczono antały. Taniec rozwirował się na dobre w salonie.

Stary Zaręba rozkaże przytoczyć się w fotelu do drzwi i patrzy na bujny szal życia, młodości. Zjawia się Sewer zdumiony przy ojcu. Jechał po wieści smutne — a spotyką w domu szal i zabawę. Stary pan zawezwie do siebie Ceškę. Nakaże krótko: Oto wasz dzień zrękwoin. Przytuli się w tańcu do piersi Sewera Ceška... Dokona się cud miłości. Pozna Sewer, że serce jego należy już nie do Izy.

A jeszcze niedawno ostatnią spłacił daninę swemu snowi młodości. Wykrał Ize nocą podczas balu i wśród zawieruchy śnieżnej powiół samą na Wolę, swawolę. Zginał koszar; w pijanym tańcu rodzi się pieśń nowa, serdeczna, które na imię Sewer i Ceška. Wiruje szalony tan; siarczyście rznie muzyka, leje się wino i miód — nikt nie spostrzega. Iak stary Zaręba w fotelu cichutko umiera.

Sewer niebawem wróci znów do Warszawy. Tu też dowie się w salonie Izy wiadomości wyczekiwanej:

Madaliński; idzie na Warszawę.

Wojna, stary żołnierz huknie Marsyliankę, Warszawa pocznie nadłuchiwać i wyczekiwac wiadomości z pola bitew.

Tom trzeci; będzie epopeja walk Kościuski. Po tym też tomie będzie można dać krytyczną ocenę dzieła Reymontowskiego. Dziś już jednak czytać je należy dla świetnej różnorodności obrazów.

Reymont życie dworu szlacheckiego z przed lat stu odtworzył z wielką intuicyą i darem plastyki. Szczególnie te dawne charakterystyczne postacie starego Zaręby, stryja, mnicha żyją i wmurowują się w pamięć. Jak ci ludzie mówią, patrzą, jedzą, no i piją!

Warszawie starej nie pozostał też dłużny Reymont. Rozumie on jej czar. Staromiejskie mury i ci dawni nasi mieszczanie zrasła się w bastyon. Bastyon ten opromienił Reymonta najprzedniejszym skarbem sentymentu.

Nad tem jednak wszystkiem roztoczył takie czary przyrody, tak wyspowiadał znów zamieć śnieżną czy deszczu chłupotanie, że książka jego już dla tych odezwać przedziwnych zostanie.

Dramat zaś pokolenia ma w Reymontcie obserwatora. Opowie on ich troski, spokojnie, zanotuje te idee, około których toczyły się boje, ale nie wyjdzie poza ramy eposu.

Tragiczny liryzm Konradowy nie zaszampanie trzewiami, nie wytraci z równowagi. Jego Sewer rozplynie się w mgły idealizmu, a dyskusye sprzyjęzonych zainteresują tylko przez umiejętą charakterystykę figur.

Nie wszystkie, rozumie się, na miarę prometejową są zakreślone. I te są najbardziej interesujące. Bo i sam król trzymany w tonie charakterystycznym błędnie z tej racyi, że Reymont idealizuje go, bieli promieniami dramatu, na jaki był skazany. Za to Igelström i sceny oczekiwania w jego antichambrach aż się wyrwyją dosadnością barwy i pełnością mistrzowskiego rysunku.

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

Nowela.

## Przerwana idylla.

1

Godzina była popołudniowa, skwarna, słoneczna! Cały ogródek dyszał gorącym oddechem, przepojonym mdlącym zapachem wiejskich kwiatów, rozsypanych po grządkach, rabatach i małych kłombach, otoczonych obręczą czerwonych odłamków cegły lub kamieni, pobielonych wapnem. Starannie oczyszczzone z chwastów ścieżki ogrodu błyszcząły kremowym piaskiem, lśniąc w złociste promienie słonecznych, jak strumień kryształowej wody. Był to ogródek mały, podobny do bukietu, ułożonego z nasturcyi i groszku pachnącego, nad którym chwiały się rozstrzępione, jasne twarze słoneczników z wzdziobanemi przez wróble ziarenkami, a jeszcze wyżej wznosiły się ramiona drzew, kwitnących na wiosnę cudnie białym i czerwonym kwiatem. W cieniu tych kilku gruszy i kasztanów, jak z pod ziemi, wyrastał mały domek na zielono pomalowany, z wyciętymi sercami okiennic, z gankiem na podwyższeniu z cegieł, objęty w uścisku dzikiego wina, wdzierającego się poprzez muślinowe firanki wprost do wnętrza pokoików, zawsze cichych, przepojonych zapachem, bijącym od kwiatów i zdała idącym od lasów mrocznych i iak, mieniących się, jak wstęgi, barwami zielsk. O zmierzchu, kiedy ostatnie zgasły promienie, mały ten domek ginał w słodkim, głębokim mroku drzew i winnych liści, otoczony wieńcami roślin, poprzez które biło żółte światło lampy, srebrząc kroje muślinu firanek i krzaki bzu, rosnącego tuż pod samymi oknami.

Była to rezydencya pana Morawskiego, siwego, zgarbionego starca, który mieszkał tu od lat dalekich. Starsi gospodarze Wiśnicy, na których gruntach wybudowany był dworek pana Morawskiego, pa-

Powieść Reymonta, bez względu jednak na wszystkie możliwe zarzuty, jest dziełem wielkich ambicy; artystycznych. Zapewne też Reymont pragnie nią w rok wojny i niedoli przypomnieć stare, lwie hasło: Nil Desperandum!

Z krwawej powstaje ono topieli dawno wymarzone, wbrew wszystkim złym losom. I przypomina ono chwile zamierzehle, czasy walk Kościuszkowskich.

Bo nie odeszły w niepamięć te chwile. Nie przesłonił ich czas srebrnym welonem błędnych wspomnień.

Eustachy Czekalski.

miętali dobrze ten dzień, kiedy zjawil się „szlachcic“ i kupiwszy od zamożnego gospodarza kawał nieużytku, wybudował na nim między kilkoma rosnącymi drzewami dom, zasadził kilkanaście krzewów, uporządkował i osiadł na stałe. Nie wszyscy wówczas byli radzi nowemu przybysowi. Jedni mówili, że to zbankrutowany szlachcic, który się bez ziemi obejść nie może, inni, że jakiś „ciarach“, od rządu przesłany na szpiegowanie, co się w gminie dzieje. Powoli jednak wszyscy się uspokoili i pogodzili z faktem dokonanym. Pan Morawski prawie nie wychodził na wieś, nie zaglądał do karczmy i z nikim, prócz księdza, znajomości nie zawarł. Cały dzień można go było widzieć zajętym w małym ogródku, który wkrótce stał się bukietem różnobarwnych kwiatów, a z biegiem czasu męźniał, rósł, rozwijał się, jak żywy, mocny człowiek, który z chłopięcia przechodzi w bujne życie dorosłego mężczyzny. Zaraz w następnym roku przywiózł do Wiśnicy kilkoletniego chłopca i przedstawił go w gminie, jako swego syna. Teraz razem chodzili po lesie, zbierali jagody, wylegiwali się na słońcu, lub wydeptywali ścieżkę, prowadzącą na plebanie, gdzie oczekiwał ich proboszcz, jego gospodyni, smakowita kawa lub pierogi z jagodami, za które mały Piotruś sprzedawał napewno pierwszeństwo swoich lat, jak Eżaw za miszkę soczewicy. A potem, kiedy biegał już w ogrodzie za motylami, śmiejąc się wesoło poprzez czarne od jagód zęby, pan Morawski zasiadał z proboszczem za stołem i rozpoczynała się niezmiernie interesująca ich partya domina lub długa rozmowa o dawnych, minionych czasach. Wówczas gorzały fajeczki, palone w rozmarzeniu, padała mgła przeimującej tęsknoty na oczy, zapatrzone w gi-

nące chmury na horyzoncie — i rozmowa szła cicha, pełna wspomnień i odbłasków umarłych radości.

Tak przechodziło życie jednostajne i ciche i podobne do siebie w dniach, miesiącach i latach całych. Piotruś rósł i przygotowany przez ojca do szkoły — pewnego poranku, chłodnego września — wyjechał do miasta — i został już tam do Bożego Narodzenia. Pan Morawski jeszcze bardziej zamknął się w swojej pustelni. Dziewczyna z plebanii przynosiła mu jedzenie, z wielką troskliwością przygotowywane przez starą księżą gospodynię, i prawie za każdym razem mówiła na odchodnym:

— Ks. proboszcz przykazał prosić wielmożnego pana na odwiedzenie.

A Morawski również dzień w dzień odpowiadał:

— Pocałuj ks. proboszcza w rękę i powiedz, że przyjdę.

I codziennie regularnie, zaraz po klekoceniu biednego dzwonka wiejskiej sygnaturki na Anioł Pański, szedł na plebanie i witał się z proboszczem, całując go w ramię.

— Cóż tam nowego?... — zapytywał.

— A no, nic!... Dziękować Bogu, wszystko dobrze.

I grali znów w domino, partycje za partycją, aż do kolacyi, po której rozchodzili się na spoczynek. Wówczas Morawski wchodził na ganek, siadał na miękkim, wygodnym fotelu i zapalał fajkę. Do późnej nocy siedział nieraz i patrzył w księżyc uporczywie niezmięczonym, zamglonym tęsknotą wzrokiem. O czem myślał?... Ach! Nietrudno było się domyśleć, widząc te dziwne oczy i twarz pobladłą, zastygłą w promieniach zielonego światła. Te oczy kochały! Z zamglonych źrenic staro-go już człowieka bił słodki, odurzający zapach ukochania. Morawski tęsknił, omdlewał z tęsknoty i oczyma szukał w przestrzeni tamtych oczu, oczu zgąszczonych już, przysypanych ziemią oddawna, porośniętych darnią, zamkniętych nazawsze! I czasami zdawało mu się, że z mroków nocy, z głębin ciemności, jak z morza, wypływa ukochana, niezapomniana postać żony i dąży ku niemu z wyciągniętymi naprzód rękoma, że idzie z uśmiechem na ustach, z blaskiem słońca na białej, uśmiechniętej twarzy, ukochanej przez wieczność. Wtedy przechodził go dreszcz słodkiego przerażenia, lęku i zachwyty. Pochylał się, jak do przyjęcia w ramiona matry, wywołanej tęsknotą serca, przebiegał wzrokiem otchłan ciemności — i wszystko zniknęło. Był znów sam na ganku wirnem okolonym, a przed nim ogródek, tonący w cieniu i ciszy letniej, gorącej nocy. Wtedy najczęściej wracał myślą do swego syna, który

był jej synem i jej wcieleniem. Kochał go całą potęgą swego serca, odnajdując wyraźną słodycz podobieństwa do niej. Oczyma zasłoniętymi mgłą łez, wpatrywał się często, stojąc w czasie jego snu nad łóżkiem, oszołomiony i wzruszony rozkosznym podobieństwem ust, włosów, białego czoła i całej tej kochanej, drogiej twarzy. Wówczas przedziwna postać zmarłej stawała mu przed oczyma tak wyraźnie, że błądł i śniał się, czując jej niewidzialną obecność przy sobie, tajemniczym tchnieniem z za światła otaczającą uspięone dziecko. W takich chwilach obłąd rozpaczy bez granic obejmował go, jak dym trujący, oraz biedne, omdlałe serce boleścią niewypowiedzianą. Morawski, wyczerpany i drżący ze wzruszenia, opadał na pierwsze-lepsze krzesło, stojące w pobliżu, i przyrywał oczy, szepcząc bezwiednie wyrazy obłądnej miłości. Spieczone, pobladłe usta rzuciły słowa, zrodzone w męce żalu nie zwalczanej niczem tęsknoty, ociekającej krwią serca, tęsknoty, gorącej, jak pochodnia, w jego piersiach żywym płomieniem, buchającej z oczu szaleństwem pragnienia.

Szły lata, miały długie, jesienne wieczory i wiosenne miesiące wiosny, przed oczyma przesuwali się rok za rokiem, jak jednakowe, szare wagony długiego pociągu, lecz w głębi jego duszy żarzył się zawsze ten sam krwawiący ogień boleści po śmierci ukochanej kobiety. O jakże często załamywał ręce i suchym wzrokiem przebiegał otaczającą ciemność, rzucając w przestrzeń krwią ociekające pytania. A potem ze słów nienrzytomnych, żebrzących zmiłowania wiałą ciche modlitwy i rzucał je w szepcie błagalnym w mrok nocy, wyciągając ręce ku migocącym gwiazdom. Wierzył, że go słyszy, że mówi do niej, że odpowiada mu z dalekich otchłanów wieczności; zawsze ta sama cicha, słodka, kochająca bez miary. W żącej tęsknocie i drżeniu serca miał czas, zbliżający go do zupełnej starości. Piotruś rósł, męźniał, aż przyszła chwila, kiedy jego lata nie wzbudzały już wątpliwości żadnej. Był pełnoletni. Pan Morawski uroczyście poczęstował go papierosem, wiedząc dobrze, że jest to owacyna o kilka lat opóźniona, i zaczął traktować, jak człowieka dorosłego zupełnie. Współ z proboszczem urządzono radę rodzinną, której rezultatem wypadł dość niespodziewanie. Zarówno Morawski, jak i poczciwy księżyna zawyrokował, że Piotruś winien poświęcić się adwokatrze lub medycynie, t. j. przedewszystkiem wstąpić na uniwersytet. Oparł się jednak temu sam kandydat. Rozumiejąc lichy stan finansowy ojca, postanowił poświęcić się karierze urzędniczej i kategorycznie zapo-

wiedział, że już mając dosyć książek i „belfrów“ — przyjmując posadę w banku. Tak się też stało. W krótkim czasie Piotr osiadł w mieście na stałe. Pan Morawski, chociaż niezbyt chętnie, pogodził się z wyborem syna — i znów pozostał sam z księdzem proboszczem i partycją domina. Kilka razy do roku przyjeżdżał Piotr do Wiśnicy — i pozostawał dni kilka; pozostałe miesiące Morawski przepędzał na przerabianiu w myśli wszystkich jego czynów, wyrażeni i słów, wypowiedzianych podczas bytności. Była to jego jedyna rozkosz podczas długich, jesiennych wieczorów, kiedy siedział naprzeciw dzmieniącemu proboszczu, a na stole leżały porozrzucane kamienie domina, w które już grać często nie mieli chęci. Bo wszakże wszystko na świecie może się zmudzić, wszystkie uroków mogą zblednąć czary i barwy gorące — nie mogły jednak Morawskiego znużyć myśli o Piotrze i o tej, której był synem. Ta wielka, nieugaszona miłość była wiecznym źródłem jego życia, jedyną rozkoszą, jedynym natchnieniem jego myśli, które stał w tęsknocie swojej, jako promienie słonecznym blaskiem, niewidoczne a wieczną miłością brzemienne pocałunki swego serca. Kochał ich oboje całą potęgą swej duszy, przeżywając długie lata w samotności, przesiadując w milczeniu na małej werandzie, tonącej w splotach dzikiego wina. Takie było jego życie od lat 20, kiedy za ostatnie pieniądze, uratowane z ruiny, wybudował mały domek na gruncie Wiśnicy. I dzisiaj, jak zwykle o tej porze, siedział w swym ulubionym, starym fotelu, gracie odwiecznym, i ćmił fajkę, błądząc wzrokiem po zmożonym upalnym słońcem ogrodzie. Szedł zapach, gorący, jak czerwone nasturcyce, płynące w blaskach ulęwnych promieni. Syczały owady po gaszczach traw, z brzękiem przelatwały pszczoły i ćmiele o czarnych w żółte pęgi brzuchach — i białe motyle, jak rozsypane papierki, unoszone wiatrem, płynęły bez szelustu pomiędzy drzewami, składając swe wycięte skrzydła na pierwszym-lepszym dzwoneczku lub wachlarzyku bratka. Pan Morawski pykał powoli wiśniową fajeczkę, przyglądając się z rozkoszą temu wracemu życiu między ździebłami traw i cienkich łodyżek kwiatów. Zatrzymując wreszcie wzrok na zaciętej walce, toczącej między groźnym pajakiem a nieostrożną osą, która, zbyt ufając swym siłom, lub może tylko przed niewagą, zaplątała się w sieć zdradliwie rozpostartą. Walka była zacięta. Osa brzęczała, puszczając w straszliwy wir swoje skrzydła, wysuwając żądlę, nie mogąc jednak osiągnąć wroga. Pająk kraży zdaleka, ostrożnie, flegmatycznie, zataczając kręgi i snując za sobą straszna, lenka, zabójcza nić

pajęczyny. A potem coraz mniejsze zataczał koła, lekko, ostrożnie dotykając osę łapkami — aż uwikłał jej nogi i jedno skrzydło, a po chwili drugie. Był zwycięzcą!... Jeszcze chwila a na zielonej balustradzie werandy osa wyda ostatnie technienie. Lecz oto tuż koło czarnego pająka zjawia się błyszczący koniec

kija pana Morawskiego, który jedynym zamachem straca osę w przepaść zielska, rosnącego pod werandą. Pająk, rzecz oczywista, nie namyślając się długo, bierze nogi za pas i z całych sił ucieka do swego gniazda, zlorzczać bezwątpienia swemu szczęściu!...

*Dalszy ciąg nastąpi.*

## Jak się nazywa nasz żołnierz.

Nazwa polskiego żołnierza, a raczej jego przewisko, zmienia się, ma swój rozwój i swoją historję. W zmianach przewisk, w rozmaitym ich doborze odbija się stosunek wodza do żołnierzy, żołnierzy do społeczeństwa, społeczeństwa do żołnierzy, wreszcie stosunek jednego i drugiego do przebiegu wojny.

Neoficyalne, potoczne nazwy żołnierza powstają powoli, dzięki zwolna narastającym i grupującym się dokoła niego okolicznościom. Bývają te przewiska narzucone z góry, lub formują się u dołu w szarej masie żołnierskiej. Bogactwo ich i różnorodność, jak zresztą bogactwo wskrzeszonego tą wojną słownictwa wojskowego, ustawicznie wzrasta i niepodobna dziś jeszcze objąć jego całości. Postaram się więc tylko przytoczyć kilka charakterystycznych wyjątków, streszczających typowo stosunki żołnierza.

Pierwsza nazwa, jaką otrzymał, porzuciwszy swą przynależność stowarzyszeniową przedwojenną (jak strzelec, drużyniak, sokół), to — obywatel.

Nie była to właściwie nazwa, lecz tytuł. W tytule zawiera się zwykle trochę podniosłej przesady, trochę „państwowej“ formalistyki (państwowej, społecznej czy historycznej). W tytule zawiera się zwykle pewne przyspieszenie — dopiero stającą się rzeczywistością. W tytule „obywatel“ objawiło się wskrzeszenie społecznego żołnierza i wielka nadzieja na przyszłość. Objawił się w nadaniu tej nazwy żołnierzowi stosunek wodza do siły zbrojnej; norma, jaką ów wódz ustanawiał dla siebie wśród żołnierzy.

Nie pora na poważne wyczerpanie treści, jaka z tą nazwą weszła w życie wojska i społeczeństwa. Chodzi o to, by choćby przelotnie stwierdzić, jak „obywatel“ został przyjęty w społeczeństwie i czy ostał się mimo wielu zmian, zawodów, strat i upadków nadziei, czy ostał się wobec doświadczenia wojennego, jego srogich ciągów?

Ludność Królestwa przyjęła „obywatela“ przeważnie ze zdumieniem i z przekornym pobłażaniem. Tak jest, z przekornym pobłażaniem przyjęły „obywatela“ zamożniejsze, inteligentniejsze sfery. W pobłażaniu kryła się niewiara, w przekorze tail

się wstyd. Niższe sfery społeczeństwa, t. j. robotnicy, nie zrozumiały tych odcieni i różnic, jakie są między towarzyszem a obywatelem. A chłopci? Z głęboką radością można powiedzieć, że każdy chłop, który przestał na żołnierza, dumny był z tego tytułu.

Jakie były losy „obywatela“ w wojsku? Losy te nie są jeszcze zamknięte. Prosty, dumny, rycerski i społeczny ten tytuł po ciężkich doświadczeniach wojennej służby zyskał na wartości, tytułem przestał być, osiągnął najzupełniejsze prawo codziennego użytku i stał się — nazwa potoczną. Wszelki formalizm starły z tego słowa ciężkie boje, wszelka przesada zatarła tok surowej służby wojennej. Słowo to w obiegu pracy wojskowej nie potrzebuje już żadnego aktu uczucia, czy historycznej percepcji, stało się zwykłym, tak samo, jak zwykłą być musi rzeczka na wojnie cnota i zasługa.

W innych oddziałach wywiązała się przeciw tej nazwie reakcja, utrzymująca obywatela w sferze tytułu. Reakcja ta jednak jest raczej pozorna i prowadzi do zabawnych konfliktów. Oto zamian za źle rozumianego „obywatela“ przeżywa się żołnierzy innych oddziałów „panami“. Są więc panowie i obywatele, bogacze na wielkich dobrach przewyciężonego trudu i stoczony walki.

Zdawałoby się, że po wspianiem zawołaniu „obywatel“, nazwa, jaka się bezpośrednio po niem ukażała, nie harmonizuje z pierwszą

Po obywatelu nastąpił dłubinosek. Trudno twierdzić, iż słowo to niepiękne i niezgrabne posiada wiele zalet, wdzięku. Jednak do pewnego stopnia da się ono usprawiedliwić.

Przedewszystkiem usprawiedliwiają „dłubinoska“ techniczne warunki wojskowego życia. Jest to życie, w którym bardzo wiele polega na czekaniu. Należy ono przecież do cnot żołnierza. Czekanie jest rzeczą bezzmiernie nudną, zwłaszcza w młodym wieku. Oto pierwsza przyczyna dłubinosostwa.

Żołnierz, przebywający albo na świeżem powietrzu w kurzu, prochu, pyłe marszów, albo w dymnej kwatery, bezwątpienia zanieczyszcza sobie nos. Oto druga przyczyna nazwy.

Wreszcie trzecia, będąca niejako reakcją, jaką wywołał tytuł „obywatela“, pochwycony przez społeczeństwo, przebywające na tyłach. Przyczyna, dyktowana radością i skromnością bardzo godziwą, chlubną, wreszcie może nawet obawą: by nie zepsuto młodego żołnierza: — Wy mu tam mówicie obywatel, — ależ nie podobnego. — to tylko zwykły sobie dłubinosek...

Prócz tych nazw dwóch, współrzędnych i jakby wzajemnie się wykluczających, przypomniły się inne, stare, mniej skrajne a bardzo piękne. Są one w użyciu we wszystkich brygadach i cieszą się największem rozpowszechnieniem. Te dwa terminy, to są — „chłopcy“ i „wiara“. Pierwszego z nich niema co tłumaczyć, wyraża on koleżeństwo i pewną pieczołowitość, która, nawiasem mówiąc, często śmiesznie brzmi w ustach młodych oficerów, będących również chłopcami.

Terminu „wiara“ używa się, oczywiście, zbiorowo i na wyrażenie zbiorowych dopustów, nieszcześć lub zwycięstw i powodzeń. „Wiara“ mówi się o szeregu, jego gwałtownych, wstrząsających przeżyciach. „Wiara“ kilka dni nie jadła, nie spała. „wiara“ szła, jak wichra, do szturm, lub — „a tu patrz, wiara wieje“.

Nazw swoich własnych, normujących stosunek wojska do społeczeństwa, żołnierz nasz społeczeństwu nie narzuca, a przeciwnie, dostaje je od niego. Otrzymawszy je, godzi się z niemi chętnie, bez względu na to, czy są one niezrozumieniem żołnierza lub nawet jego wydrwieciem.

Nazwa, która znakomicie ujmowała stosunek polskiego żołnierza do społeczeństwa w Królestwie Polskiem i którą żołnierz skwapliwie przyjął, to — „legion“, względnie legion i legiony lub leguny. Legion, to jeden; legiony — to dwaj lub wielu. Naprzykład: Było tu pięciu legionów.

Używanie tej nazwy w powyższym charakterze ma więcej znaczenia, niżby się na pierwszy rzut oka zdawało. Jeden legion, dwóch legionów, pięciu legionów. — ta forma używania tej nazwy, mieści w sobie niezrozumienie a nawet wykluczenie ze słowa legion pojęcia formacji wojskowej. Legion w myśl powyższego nie wyraża żadnej formacji, lecz jest nazwaniem pewnego rodzaju ludzi, w danym wypadku żołnierzy, którzy jednak nie są uznani wojskowo (żołnierz, soldat) a inaczej — jakoś odrębnie i niezrozumiale. W pojęciu ten mieści się, że się tak wyrażę — pewna tymczasowość, zawieszenie i doskonale określona niejasność.

Termin ten powstał na t. zw. organizacji w czasie werbunku, w Królestwie, a stworzyli ów termin w prostocie i głębi ducha — chłopci:

Żołnierz nie obraził się, sam teraz chętnie mieni się legionem, akcep-

## W dystansie historii.

tując tym sposobem wzajemne nieporozumienie i zostawiając dla jego załatwienia otwarte pole. Zresztą dopełnieniem powyższego już ze strony samego żołnierza jest nazwa „reluton“.

Gdy mowa o nazwach, jakimi chrzcił żołnierza naszego ludność, trudno pominąć przypochebny stosunek żydów do młodego wojska w Kielcach i okolicy. Chcąc żołnierzo- wi naszemu dogodzić, nazywali go żydzi, zamiast obywatelem, poprostu dziedzicem, a zamiast strzelca — strzałownikiem.

Z biegiem czasu różnica w umundurowaniu, zwłaszcza w czapkach, wprowadziła nowe przezwiska. Jak wiadomo, niektóre oddziały noszą maciejówki, inne zaś wprowadziły rogatywki. W imię tego jedni się zwą Maćkami, drudzy zaś Biskupami.

Najnowsza nazwa „rozszerzająca się bardzo powoli lecz stale i stająca się coraz bardziej powszechną, to — Pitula, Pitulka, Pituś lub Pitunek czy Pitulinka.

Skąd się wziął Pitulka? Mimo że eufonia tego przezwiska posiada wszystkie ubogie lecz miłe dane na określenie młodego żołnierza, zwłaszcza gdy chodzi o ton ubolewającego współczucia. — Pitulka nie jest dowolnym, fantastycznym zderzeniem zgłosek, lecz zupełnie szanownym nazwiskiem. Nosił je nie byle kto, bo Błogosławiony Szymon Pitulka z Lipnicy Murowanej. Stoi on, mokińie i marznie cierpliwie w pośredku błotnistego rynku tego miasteczka, w którym I Brygada stała kilka tygodni na odpoczynku po bitwie pod Łowczówkiem.

Jakim sposobem sprzegła się w wyobraźni doktora Składkowskiego, który tę nazwę w świąt puścił, — powstać bogobojnie modlącego się wśród błota kamiennego świeżego z żywym, ruchliwym temperamentem żołnierza. — trudno dociec. Dość na tem, że Pitulka się przyjął, ożywił, zakwitł bujnym sensem różnolitej interpretacji. Gdy żołnierza coś boli, gdy mu źle, zwie się rzewnie Pitulinkiem, gdy zasłuży na koleżeńsi żart — Pitusiem, gdy dokona czegoś ważnego — Pitulą.

Czy może zachodzą tu jakieś głębsze, serdeczne, bolesne pokrewieństwa? Że kamienny Pitulka jest samotny, opuszczony, mało znany, zapomniany?... Że prócz uznania w niebie, niewiele doświadczył zaszczytu na ziemi, gdy oto, w szarym stworzony kamieniu, grzęźnie wśród słoty na rynku?...  
Lecz przecie Pitulinek mocne ma nogi, dobre chody, chwytlike ręce, ostre pazury. Starczy mu treści na pitulę, pitusia, legona, dębina, Maćka, strzałownika, na relutona i „wiare“ — właśnie dlatego, że jest obywatelem i nie od święta a na najcięższy, krwawy, na najmżolniejszy użytek.

Juliusz Kaden.

... Było już dobrze po północy, okrągiło rok temu, — p. Józef jak dziś pamięta! — zasiadano do trzeciej z kolei partyjki (i w okopach rżną w bridge'a!), gdy w otwartem oknie piątego piętra błysnął krótki refleks ognia, zaś po nim w kilka sekund odezwał się pomruk głuchego, dalekiego grzmotu. Zablysło wraz ponownie, tak samo raz drugi, i trzeci, i czwarty...

— Burza idzie — dedukował jeden z partnerów.

— Nie, to bitwa — wyjrzał ktoś drugi przez okno i oznajmił uroczyście po krótkiej chwili milczenia.

Słowa uczyniły wrażenie. Rzuciono karty.

P. Józef pociągnął jednego z przyjaciół za rękę.

— Jedźmy!

Nikt nie chciał.

Wybiegł sam. Z trudem odnalazł dorożkę.

— Za rogatkę nie pojedę, mogę nie wrócić — sprzeczał się dorożkarz.

Zaostrzyło to jeszcze ciekawość p. Józefa. Kazał się wieźć ku rogatkom Jerozolimskim, skąd najwyraźniej dochodziły tajemnicze pomruki i raz po raz rozblyskiwał groźny refleks ognia.

— Gdzieś bardzo daleko bitwa, prawda? — zwrócił się do dryndziarza, chłonąc z upojeniem nowe, nieznane wrażenia.

— Ej, nie daleko; na Warszawie — odrzekł dryndziarz z takim spokojem, jakby ta „bitwa“ była dla niego chlebem powszedniego wrażenia.

I wskazał batem na otwarte przed nimi w szarzejacej pomroce polacie pół podmiejskich, na które w samej rzeczy spadały raz po raz krótkie uderzenia ognia, poparte twardym, urywanym łoskotem, rzekł byś podziwnym.

— Ale to w „tamtą“ stronę strzelają, co? — upewniał się p. Józef, choć go strach zgola nie ogarniał.

Dorożkarz nie zdążył odpowiedzieć, gdy od strony Pól Mokotowskich hycnął przez płot niewielki oddziałek żołnierzy, z pośród których kilku, dostrzegłszy dorożkę, krzyknęło:

— Dawaj *tieluga!*

„Tieluga“ posłusznie oddała się w moc oddziału żołnierskiego.

Ale p. Józef, lubo wywłaszczony, nie dał za wygrane. „Bitwa“ zagrzewała go coraz bardziej... Pomaszerował sam na Mokotów.

Na wysokości pierwszej przecznicy przeogromny łoskot omal nie zwałił go z nóg. Trząchnęło nim porządnie i prawie rzuciło o mur kamienicy. Przez moment miał wrażenie, że przepaść jakaś z piekielnym hałasem otwarła się pod jego nogami i nie pozwala kroku naprzód uczynić.

— Co to? — spytał, ochłonawszy, jednego z rzadkich przechodniów.

— Bateria tu w podwórzcu — brzmiała sucha odpowiedź, poparta wskazaniem ręką na grupę mizernych domostw przedmiejskich.

P. Józef nabożnie rozejrzał się dookoła.

— Ciężkie działa?

— Tak.

Musi być jeszcze daleko — suponował, i ruszył naprzód. Parła go ciekawość „dreszczu“.

Po kilku minutach drogi zdecydował, że już dosyć. Przystanął w po-

blizu kościoła, chłonąc w siebie z chciwością pomruki wystrzałów dalekich i wiwatów bliższych baterji. Dochodziły go też chwilami z poblizka nieznane urywane pogwary i chrzęsty tajemnicze... Przeształ tak dobrą godzinę, może i dłużej.

Gdy dzień zaczął się robić na dobre, z ciemności wynurzył się ku niemu porosły zielenią nasyp, usiany gęsto grupkami żołnierzy z karabinami w rękach.

— Czego tutaj? Niewolno! Tu pozycya!

Pozycya? Wielki Boże — — —

P. Józefa zrazu oblać lęk ogromny... Poczem ogarnęło nim nabożne wzruszenie: o kwadrans drogi od ostatniej kawiarni stołecznej — prawdziwa pozycya?...!

Ze szczerem podziwem obrzucił wzrokiem pożełnalnym nasyp, zasiany ziewającim żołnierzstwem, — i pomknął do miasta, z dumą unosząc zdobyte wrażenia!

— Zaprowadzę was na prawdziwą pozycję! Jak Boga — — —

Tylko jeden kolega dał się namówić.

Ale popołudniu nie puszczano na pozycję. „Już“ nie wolno było.

Wdrapali się więc na „ósmo pięterko“. Stamtąd nieliczna grupka stałych gości upajała wzrok swój żądny sensacyi — widokiem szeroko rozlanego morza gorejącej czerwieni, lasu całego słupów ognistych, wystrzelających ku niebu, a wolających o pomstę do świata cywilizowanego. Na tem tle szatańskiej dekoracyjności jakoś niko migotały krwawe ogniki ostatnich wystrzałów armatnich...

Z dołu, od Ronda, dochodziły na tle zupełnej chwilami ciszy masowe tupoty tysięcy żywych istot, maszerujących pospiesznie... Czasami zadudniło coś żywiej po bruku, to znów rozlegał się głos niecierpliwiej, jakby żalobnej komendy:

— Nuul...

Z gardzieli głównej ulicy przedmieścia wywijaly się szarą wstęgą nieprzebrane strumienie czapek żołnierskich, wlewając się do miasta.

P. Józef wraz z kolegą opuszcili się na dół i zrównali swe kroki z postępującymi wśród głęboką ciszy szeregi...

— Nuul!... nuul!... zawyło nagle przeciągłem wołaniem tuż za ich plecami, zaklaskały po bruku kopyta konskie, i patrol kawaleryjski ze wznieścionemi ku górze nahajami przepędził koło p. Józefa i jego towarzysza.

Nawała piechoty, zaludniająca całą niemal szerokość ulicy, bezładnym kłusem ruszyła przed siebie, podzwaniając i chrzęszcząc dzwiganym ładunkiem...

Do białego świtu krążył tak p. Józef po głównych arteriach stolicy, przeprowadzając cofających się w porządku — na „daleką“ drogę...

Nazajutrz, już po wszystkim, dzienniki pisały:

„Ustępujące wojska rosyjskie zagarniały wczoraj ze sobą z ulic Warszawy zapóźnionych przechodniów“...

P. Józefowi, włosy powstały z przeżalenia...

B. Górczyński.



## B A K.

31

I on również trzął się, jak w febrze. Cała wściekłość Bąka opadła z niego natychmiast.

— Padre, czyż nie widzisz —

Montanelli cofnął się, jak piorunem rażony.

— Tylko nie to! — wyszeptał zbieleńszymi ustami. — O! Boże, tylko nie to!... Jeżeli mam oszaleć —

Bąk uniósł się na łokciu i ujął trzęsące się ręce kardynała w swoje dłonie.

— Padre, czyż ty nie rozumiesz, że ja nie utonąłem?

Ręce Montanelli'ego zeszywniały nagle. Przez chwilę wszystko zamarło w milczeniu, poczem Montanelli ukląkł i ukrył twarz na piersi Bąka.

Gdy podniósł głowę, słońce już zaszło i krwawa luna bładła na niebie. Obaj zapomnieli o czasie i przestrzeni, o życiu i śmierci; zapomnieli nawet, że byli sobie wrogami.

— Arturze — wyszeptał Montanelli — czy to ty naprawdę? Czyś wrócił do mnie z pomiędzy zmarłych?

— Z pomiędzy zmarłych — powtórzył Bąk zadrżawszy.

Leżał z głową na ramieniu Montanelli'ego, jak dziecko w objęciach matki.

— Wróciłeś do mnie! Wróciłeś nareszcie!

Bąk westchnął ciężko.

— Tak, — rzekł — a ty, Padre, masz albo mnie zważyć, albo zabić.

— O! cyt! *carino!* Cóż to wszystko znaczy teraz! Byliśmy jak dzieci, zabłąkane w ciemnościach, które wzajem brały się za widnia. Ale teraz odnaleźliśmy się i wyszli na światło. Mój biedny chłopcze, jakżeś się zmienił! jakżeś się zmienił! Wyglądasz, jak gdyby oceany ludzkiej niedoli przepłynęły nad twoją głową; ty, coś był tak pełen radości życia! Arturze! czy to ty naprawdę? Tak często śniłem, żeś wrócił do mnie, a potem budziłem się, widziałem, że otacza mnie ciemność i pustka. A może i teraz zbudzę się także i przekonam, że to wszystko sen. Daj mi jaki namacalny dowód; opowiedz, jak się to wszystko stało?

— Bardzo prosto. Ukryłem się pod pokładem handlowego parowca i pojechałem do Południowej Ameryki.

— A tam?

— Tam — żyłem — jeżeli to życiem nazwać można, dopóki... O! widziałem wiele innych rzeczy po za teologicznymi seminarjami, od cza-

su, gdyś ty, Padre, uczył mnie filozofii. Mówisz, że śniłeś o mnie — tak!... a ja o tobie —

Wzdrygnął się i urwał.

— Raz — zaczął znowu nagle — pracowałem w jednej kopalni w Ekwadorze.

— Jako górnik?

— Nie; jako popychadło górnika; najmowałem się pospolu z kull-sami. Sypialiśmy w baraku u wejścia do kopalni, i pewnej nocy byłem chory, podobnie jak teraz, a mimo to nosiłem kamienie w straszny upał — więc myślę, że musiałem mieć maligne — bo ująłem cię, ojcze, wyraźnie wchodzącego we drzwi. Trzymałeś w ręku krucyfiks i modliłeś się i przeszedłeś koło mnie, nie odwróciwszy się... Wołałem na ciebie o pomoc, byś mi dał trucizny lub noża, byle tylko położyć kres, tym męką, nim zwiariuję. Ale ty — och —

Przeciagnał ręką po oczach. Montanelli trzymał wciąż drugą w obu dłoniach.

— Widziałem po twojej twarzy, żeś słyszał, aleś się nie obejrzał, tylko modliłeś się dalej. Gdyś skończył, ucałowałeś krucyfiks i rzekłeś: „Żał mi cię bardzo, Arturze, ale nie śniem ci pomóż, bo mógłbym Go obrazić“...

— A gdy odzyskałem przytomność i zobaczyłem barak i tredowatych kuliśów, zrozumiałem, że bardzo ci chodzi o łaskę twego Boga, niż o wybawienie mnie z piekła. I zapamiętałem to sobie... Tylko, gdyś mnie dotknął, zapomniałem na chwilę bo... bo... byłem chory i... kochałem cię niegdyś. Ale pomiędzy nami nie ma nic wspólnego; może być tylko wojna, wojna i wojna. Czemu trzymasz mnie za rękę? Czyż nie rozumiesz, że dopóki wierzysz, my sobie tylko wrogami być możemy?

Montanelli pochylił głowę i ucałował okaleczoną rękę Bąka.

— Arturze! Jakże mogę nie wierzyć? Jeżeli zachowałem wiarę przez te wszystkie okropne lata, czyż mógłbym zwatnić teraz, gdy mi cie powróciła? Pamiętaj, żeś się sądził sprawcą twojej śmierci.

— Jeszcze nim być możesz, Padre.

— Arturze!

Bezeraniczna trwoga drżała w tym okrzyku, ale Bąk ciągnął dalej, niezważając:

— Bądźmy szczerzy i nie zamudlajmy sobie wzajemnie oczu. Ja i ty, Padre, stoimy na dwóch krawędziach otchłani, poprzez którą nigdy ręce nasze się nie złączą. Jeżeliś postanowił, że nie możesz, czyż nie

chcesz wyrzec się twego Boga, musisz przystać na to, czego pułkownik —

— Przystać!... O! Boże, Arturze! Przystać!... Ależ ja cię kocham!

Twarz Bąka ściągnęła się straszliwie.

— Kogóż kochasz więcej, mnie czy... Jego?

Montanelli powstał z wolna. Dusza w nim zamarła i rzec było można, że zgrzybiałość zwarzyła momentalnie jego ciało, jak mróz warzy jesienne liście. Zbudził się ze swego snu i ujrzał, że otacza go pustka i ciemność.

— Arturze, ulituj się nademną!...

— A ty, miałeś litość nademną, gdy twoje kłamstwa zrobiły ze mnie niewolnika murzynów na plantacjach cukru? Wzdrygasz się słysząc to!... Ach! kłliwe, światobliwe serce! Powiadasz, że mnie kochasz! Zaiste, miłość twoja drogo mnie kosztowała. Czy sądzisz, że mogę przekreślić wszystko dla kilku czułych słów i stać się dawnym Arturem, ja, który byłem posługaczem w lupanarach najniższego rzędu i parobkiem u kreolskich fanmerów, którzy obchodzili się ze mną gorzej, niż ze swoim bydlęciem? Ja, który byłem blaznem wędrownego cyrku, niewolnikiem każdego opoła i lotra, któremu się podobano znęcać nademną; ja, com żebrał o cuchnące ochłapy i często niedostawałem ich, bo psy miały pierwsze prawo przedemną? Och! co tu mówić. A ty, Padre, powiadasz, że mnie kochasz! Jakąż jest ta miłość twoja? Spójrz na moje... i tu i tu... i tu...

Rozerwał koszulę na piersiach, ukazując okropne blizny.

— Padre! Ja także byłem rozpięty na krzyżu!... ja, twój syn. Ja mam pierwsze prawo do twego serca. O! gdybyś wiedział jakim byłoby moje życie! A jednak nie chciałem umrzeć! Zniosłem wszystko. Ta myśl skrzepiła mnie, ta myśl strzegła mnie od szaleństwa i samobójstwa. A teraz, gdy wróciłem, znalazłem Go na dawnym miejscu w twym sercu... Padre, powtarzam ci, ja byłem rozpięty na krzyżu przez pięć lat i wracam do ciebie, jakby z tamtego świata! Co uczynisz ze mną? Co uczynisz ze mną?

Zamilkł. Montanelli siedział, jak skamieniały. Zrazu, pod pierwszym wybuchem rozpaczny Bąka, drgnął i skurczył się zlekka, jak człowiek smagnięty biczem; ale teraz siedział zupełnie bez ruchu.

Po długim milczeniu podniósł oczy i przemówił bezdźwięcznym, powolnym głosem:

— Arturze, wytłómacz się jaśniej. Tak mnie oszłomiłeś i przestraszyłeś, że nie mogę zrozumieć. Czego ty żadasz odemnie?

Bąk zwrócił ku niemu trupio-bładą twarzą.

— Nie żądam niczego. Któż może wynusić miłość. Padre! Masz

wolny wybór pomiędzy mną a Nim...

— Nie rozumiem — powtórzył Montanelli zniżonym głosem. — Co mam wybierać? Nie mogę cofnąć przeszłości.

Montanelli spoglądał na Bąka, drżąc od stóp do głów. Zaczynał pojmować...

— Porozumiem się z twymi przyjaciółmi... tak... uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby cię ocalić... Ale pójść z tobą... to niemożliwe. Jestem księdzem.

— A ja nie przyjmuję żadnych dobrodziejstw od księży. Padre, zerwijmy na koniec z kompromisami. Miałem ich dosyć i ich skutków. Musisz się wyrzec albo twego stanu, albo mnie.

— Jakże ja mogę wyrzec się ciebie? Arturze! Jakże ja mogę wyrzec się ciebie?

— Jakżeż mogę rozdzielić serce na dwoje! Arturze! Arturze! Czy chcesz mnie doprowadzić do szaleństwa?

Bąk uderzył ściśniętą pięścią w ścianę.

— Musisz wybierać! — powtórzył.

Montanelli wy dobył ukryte na piersiach płaskie pudełeczko, zawierające skrawek zmietego i zbrudzonego papieru.

— Patrz — rzekł.

„Wierzyłem w ciebie, jak w Boga. Bóg jest rzeczą uczynioną z gliny, którą mogę rozbić młotkiem; a tyś mnie okłamał i wystrzychnął na dudka“.

Bąk zaśmiał się i oddał papier Montanelliemu.

— Jak c... cudownie młodym jest się w dziewiętnastu latach. Wziąć młotek i rozbić coś wydaje się tak łatwą rzeczą. Tylko, że teraz to ja znalazłem się pod młotkiem. A co się tyczy ciebie, Padre, to jest jeszcze mnóstwo innych ludzi, których możesz okłamywać i którzy nigdy się na ten nie poznają.

— Jak chcesz — rzekł Montanelli. — Może na twoim miejscu byłbym równie bezlitosnym. Bogu to tylko wiadomo. Nie mogę uczynić tego, czego żądasz Arturze; ale uczynię to, co mogę. Ułatwię ci ucieczkę, a potem, gdy już będziesz bezpiecznym, zdarzy mi się jaki wypadek w górach, albo przez pomyłkę wypiję trujący środek nasenny, lub coś w tym rodzaju. Czy to cię zadowoli? Bo to wszystko, co uczynić mogę. Grzech to wielki, ale ufam, że Bóg mi go przebaczy. On jest miłosierniejszy, niż —

Bąk podniósł w górę obie ręce z rozpaczyliwym okrzykiem:

— Och! tego zawiele! Tego za wiele! Cóżem uczynił, byś ty, Padre, myślał o mnie w ten sposób? Jakiem prawem? Jak gdybym ja chciał się mścić na tobie!... Czyż nie widzisz, że ja tylko pragnę cię ocalić? Czy ni-

gdy nie zrozumiesz tego, że ja cię kocham?

Uchwycił obie ręce Montanelli'ego i począł okrywać je gorącą pocałunkami i łzami.

— Padre! Pójdz z nami! Co ty masz wspólnego z tym umarłym, tułajszym światem?... Czas jego minął... i dziś to tylko próchno i zgnilizna! Pójdz z nami na światłość dzienną. Padre! życie i młodość — to my! wieczna wiosna — to my! przeszłość — to my! Padre. Świt bliski. Czyż wyrzekniesz się dobrowolnie udziału we wschodzie słońca? Zbudź się! Zapomnijmy o tych straszliwych nocnych zmorach. Zbudź się! i zaczniemy wspólnie żyć na nowo. Padre! Jam cię kochał zawsze!... zawsze, nawet wtedy, gdyś mnie zabił... Czy zabijesz mnie powtórnie?

Montanelli wyrwał mu ręce.

— Boże miłosierny! ulituj się nademną! — wykrzyknął. — A ty... nie patrz tak na mnie... *oczami twojej matki!*

Długie milczenie zapadło. W szarej pomroce zagasłego dnia spojrzeli na siebie i serca im zamarły z przerażenia.

— Czy nie powiesz mi nie więcej? — wyszeptał Montanelli. — Nie masz dla mnie iskierej nadziei?

— Nie. Życie moje to ciągła walka z księżmi. Nie jestem człowiekiem; jestem sztyletem. Jeżeli pozwolisz mi żyć, usankcjonujesz morderczą broń!

Montanelli zwrócił się ku wiszącemu na ścianie krucyfiksowi.

— Boże Nieśmiertelny! Ty słyszysz!...

A wtedy z drwiąco wykrzywionych ust Bąka padło bluźnierstwo:

— Wzywaj go głośniejsze, m... m... może śpi!

Montanelli zachwiał się, jak ugodzony śmiertelnym ciosem. Przez chwilę stał patrząc przed siebie osłupiałym wzrokiem; poczem usiadł na krawędzi tapczana, zakrył twarz rękoma i wybuchnął płaczem. Zimny dreszcz przebiegł Bąka od stóp do głów. Zrozumiał, co znaczyły te łzy.

Zaciągnął koldrę na głowę, by ich nie widzieć. Dość już było, że miał umrzeć; on tak pełen wspaniałych sił żywotnych! Ale nie mógł zagłuszyć odgłosu tych łkań; wdzierały mu się do uszu, do mózgu... każda najmniejsza żyłka drgała w nim... A Montanelli płakał i płakał; łzy ciekły mu przez palce.

Wreszcie uciekł i otarł oczy chustką jakimś żalnym ruchem spląkanego dziecka. Gdy powstał, chustka zsunęła mu się na podłogę.

— Odchodzę — rzekł. — Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — odparł Bąk tępym głosem. — To nie twoja wina... Twój Bóg jest głodny i trzeba go nakarmić!

Montanelli zwrócił się ku niemu. W grobowym milczeniu spojrzenia

ich spotkały się ze sobą podobne do tęsknego wzroku dwojga miłujących się, poprzez zaporę, którą zniszczyć nie jest w ich mocy.

Bąk pierwszy spuścił oczy. Osunął się na tapczan, odwracając twarz, a Montanelli rozumiał, że gest ten znaczył: „Odejdź“.

Odwrócił się bez słowa i wyszedł z celi.

W chwilę potem Bąk zerwał się z posłania.

— Och! Nie mogę tego znieść! To ponad moje siły. Padre! wróć, wróć!

Ale drzwi były już zamknięte. Obejrzał się dokoła rozszerzonymi źrenicami i zrozumiał, że było po wszystkim. Galilejczyk zwyciężył.

Przez całą noc trawa kołysała się zlekka na dziedzińcu więziennym — ta sama trawa, która wrędcie miała zwiędnąć pod ciosami; rydla; i przez całą noc Bąk leżał sam w ciemnościach i płakał.

## ROZDZIAŁ VII.

Sąd wojenny zebrał się we wtorek rano. Sprawa była krótka i prosta; właściwie formalność tylko, która trwała zaledwie dwadzieścia minut. W istocie; nie było nad czem tracić czasu. Obrony nie dopuszczono, a jedynymi świadkami byli: zraniony oficer, szpieg i paru żołnierzy.

Wyrok był przygotowany napróżd; Montanelli nadesłał tyle požądane zezwolenie i sędziowie (pułkownik Ferrari, miejscowy major dragonów i dwóch oficerów szwajcarskiej gwardyi) mieli nader mało do roboty. Odczytano na głos akt oskarżenia. Świadczenie złożył zeznania, podpisano wyrok i przeczytano go z należnym namaszczeniem skazańcowi. Wysłuchał go w milczeniu; a zapytany, czy ma co do powiedzenia machnął tylko niecierpliwie ręką.

Na piersiach miał ukrytą chustkę, którą Montanelli upuścił. Przez całą noc oblewał ją łzami i całował, jak żywą istotę.

Teraz wyglądał blade i mizernie, a zaczerwienione powieki nosiły ślady łez; ale słów „na rozstrzelanie“ wysłuchał obojętnie; tylko źrenice mu się rozszerzyły.

— Zaprowadzić go do celi — rzekł gubernator, po załatwieniu wszystkich formalności i sierżant, który zdawał się być blizkim płaczu, położył rękę na ramieniu stojącego nieruchomo Bąka. Ten drgnął i obejrzał się.

— Ach, tak — rzekł. — Zapomniałem.

W twarzy gubernatora odmalowało się coś naksztaltu litości. Z natury nie był okrutnym i w głębi duszy wstydział się nieco roli, jaką od miesiąca odgrywał. Teraz, gdy osiągnął požądany cel, skłonny był do pewnych ustępstw.

— Nie potrzeba mu nakładać kajdan — rzekł, spojrzawszy na posiniaczone i opuchnięte ręce Bąka. — I może pozostać w swojej celi. Ciała skazańców jest strasznie ciemna i ponura — dodał zwracając się do synowca — a w istocie, to tylko prosta formalność.

Odkaszlnął i zaszurgął nogami, zakłopotany widocznie; poczem przywołał sierżanta, który wychodził z więźniem.

— Poczekaj, sierżancie; chcę mu coś powiedzieć.

Bąk nie poruszył się i nie odwrócił, jakgdyby nie słyszał.

— Jeżeli chciałbyś pan przesłać jakie zlecenie krewnym lub przyjaciółom — Masz zapewne krewnych?

Nie było odpowiedzi.

— No; namyśli się pan i powiedz mi. Albo najlepiej księdzu. Ksiądz przybędzie zaraz i pozostanie z tobą przez całą noc. Jeżeli żądasz jeszcze czego —

Bąk podziósł oczy.

— Proszę powiedzieć księdzu, że wolę zostać sam. Nie mam ani przyjaciół, ani krewnych. Nie zostawiam żadnego zlecenia.

— A spowiedź?

— Niczego nie żądam, tylko, żeby mnie zostawiono w spokoju.

Mówił tępym, spokojnym głosem; i zwolna ku drzwiom postąpił. Tam jednak zatrzymał się.

— Zapomniałem, pułkowniku. Chciałem prosić o jedną łaskę. Nie każ mnie pan wiązać, ani zasłaniać oczu. Będę stał spokojnie.

We środę o wschodzie słońca wyprowadzili go na dziedziniec. Szedł utykając mocno, z widocznym trudem; i opierał się ciężko na ramieniu sierżanta; ale tępa rezygnacyja znikła mu z twarzy. Przedśmiertelna trwoga, która go dręczyła w samotności, widziadła i sny zaświatowe w ciemnościach nocnych zrodzone, znikły ze światem; a teraz, gdy słońce świeciło i gdy ujrzał swych wrogów, przestał się lękać.

Sześciu karabinierów, wyznaczonych na egzekucję stało w szeregu pod obrośniętym bluszczami murem; pod tym samym murem, wzdłuż którego pełzał w noc swej niefortunnej ucieczki. Żołnierze ci, stojąc z karabinami w rękach, zaledwie mogli wstrzymać się od płaczu. Było to dla nich coś wprost okropnego, że mieli strzelać do Bąka. Człowiek ten ze swoim ustawicznym śmiechem, ze swą gryzącą ironią i dowcipem, ze swą niesłychaną, zaraźliwą odwagą, zabłysnął w ich posępnym, monotonnym życiu, jak promień słońca; a śmierć jego z ich rąk była dla nich jakby zgaśnięciem jasnej lampy niebios.

Pod wielkim, figowem drzewem na dziedzińcu czekał już na niego grób. Wykopano go nocą nie-

chętną rękoma, i niejedną łza zwilżyła szpadel. Bąk, przechodząc mimo, spojrzął z uśmiechem w czarną jamę i wciągnął w diersi; woń świeżo poruszanej ziemi i wędnącej trawy.

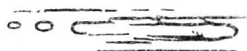
W pobliżu drzewa sierżant przystanął, a Bąk, wciąż uśmiechnięty, obejrzał się.

— Czy tu mam stanąć, sierżancie?

Ten skinął głową w milczeniu, niezdolny wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Gubernator, synowiec jego, porucznik karabinierów, który miał prowadzić egzekucyę, doktor i ksiądz byli już na dziedzińcu i zbliżyli się poważni i trochę jakby upokorzeni promienną wesołością spojżenia Bąka.

— D...d...zień dobry, panowie. Ach! i jego wielbność tak wczesnie wstała! Jak się pan miewa, kapitanie. Obecnie nasze spotkanie przyjemniejszym jest dla pana, niż poprzednie, nieprawdaż? Widzę, że pan masz jeszcze rękę na temblaku; to dlatego, żem smaszerał robotę. Ci poczciwcy lepiej się popiszą; nieprawdaż chipecy?

*Dokończenie nastąpi.*



## Z literatury.

### Dzień chwały polskiej.

Na pamiątkę uroczystości w Grochowie, dnia 13 lipca 1916 r. „Biblioteka Nowości” dała barwny opis walk o Olszynkę pióra p. Ignacego Peszkiego. Biłty dnia 19, 20 i 25 lutego 1831 roku zostały rzeczowo scharakteryzowane. Informacje p. Peszkiego mogą służyć do popularyzacji wśród szerokiej masy myśli o bohaterstwie polskiego żołnierza. Tomik ten Biblioteki „Czytaj!” należy stosunkowo do najbardziej odpowiedzialnych zadań.

### Sybir.

Obrazy i wspomnienia z Sybiru, ziemi udręki i męki, sześciu pokoleń polskich żołnierzy z licznych wspomnień naszych wygnańców w interesującą antologię. Do antologii tej weszły wyjątki z wyjazdu z Kameczatki Józefa Koppisa. Dano Konstantego Wolickiego „Na osiedlenie”. Justynian zaś Ruciński maluje piekło „Kopalni murzynskich”. Ewa Felińska opowiada, jak wygląda „Przejazdka renami” oraz „Zima i głód na Syberii”. Rufin Piotrowski informuje o sprawie księdza Sierocińskiego i o ucieczce przez Sybir. Leonard Mezyński pokazuje życie w katorżce. Apolinary Świętorzecki opisuje kazamaty w Wiljusk, a Benedykt Dybowski daje garść wrażeń z Władywostoku. Autorzy prac tych nie dobrowolnie zwiedzali te śniegowe pole. Wspomnienia ich są dokumentami martyrologii narodu polskiego. Zan interesują napewno każdego polaka!

### Kuracya roślinna.

Były redaktor dawnego „Tygodnika Polskiego”, L. de Verdmom Jasques, wydał książkę rad i wskazówek „Kuracya roślinnej”. P. L. de Verdmom Jasques nie jest lekarzem. Należy więc rady te pod odpowiednim kątem ujmować. Do książki dodano opis i atlas ziół leczniczych. Niektóre recepty są bardzo oryginalne. Naprzykład na kurczę w nogach: chodzenie boso po zrosiałej trawie lub po pokoju ze zwilżoną podłogą.

### Mieszczanin.

Znany literat p. Antoni Lange wygłosił w Stowarzyszeniu „Zjednoczenia” odczyt p. t. „Mieszczanin”. Odczyt ten wydał teraz w broszurze z dopiskiem, iż jest to streszczenie poniekąd słynnego dzieła W. Sombarta „der Bourgeois”. Z tego względu broszura ta zasługuje na wielką uwagę. Wprawdzie w wielu miejscach grzeszy paradoksalnością sądów, ale żywo i barwnie ujęta treść pobudza do myślenia nad sprawą o niezwykle dla nas znaczeniu, gdyż dotyczy naszego mieszczaństwa. P. Lange starał się wszędzie, z racyi mieszczaństwa francuskiego, niemieckiego czy amerykańskiego, poinformować czytelnika i o doli mieszczaństwa polskiego. W ten sposób wiąże rozumowanie Sombarta z tem polskim i czyni swój wykład realnem podłożem do rozmyślań.

P. Lange sądzi przytem, że „mieszczaństwo polskie ma charakter nieco odmienny od europejskiego; odziedziczyło mianowicie po szlachcie pewien ideał, którym na zawsze będzie doprowadzenie losów Polski do stanu normalnego, to znaczy do stanu samostoiści narodowej. Praca naszej burżuazji zawsze jest i musi być przenikniona tym ideałem”.

Zapewno broszura p. Langego znajdzie szerokie koło czytelników.

### Kwartalnik prawa cywilnego i handlowego

W zeszytach drugim Kwartalnika znajdujemy znów cały szereg prac fachowych, stojących w wysokim poziomie wymagań naukowych. P. J. J. Litauer rozważa kwestyę wykładni art. 68 i 124 ustawy hypotecznej. Jan Namikiewicz pisze „o prowadzeniu przedsiębiorstw handlowych, odziedziczonych przez małoletnich”. P. Adolf Nisenon dał przyczynek do kwestyi „o spółce komandytowej”. W przeglądzie orzecznictwa sądowego p. St. Szepeński poruszył interesującą sprawę „odpowiedzialności lekarza za zwierchnięcie odzieży pacyenta, złożoną w przedpokoju”. W przeglądzie zaś prawodawstwa p. Stanisław Goldstein omawia „Akty ustawodawcze z okresu wojny w dziedzinie prawa cywilnego i handlowego, a mianowicie rządu okupacyjnego niemieckiego”. W przeglądzie piśmiennictwa wyróżnia się krytyczne sprawozdanie dzieła Ch. Meurera o „Okupacji” pióra p. Litauera. Ciekawą jest też krytyczna ocena p. M. Barucha „pomników prawa wydawanych przez archiwum główne”. „Kwartalnik prawa” jest bardzo żywotną placówką myśli naukowej z zakresu rozważań jurysprudencyjnych.

